

Jedna katoliczka więcej

Autor tekstu: Jan Hartman

Chrzest zmienia życie człowieka — także to doczesne. Mój dziadek i babka ze strony ojca jeszcze w XIX w. zostali ochrzczeni (w Kościele Ewangelicko-Augsburskim), dzięki czemu mogli wyrwać się z getta, jak nieco pogardliwie spolonizowani Żydzi nazywali żydowskie dzielnice Warszawy. Dziadek został wziętym warszawskim adwokatem, babka mogła studiować. Swego syna, a mojego ojca, też ochrzcili. Całe szczęście. Gdyby nie to, nie przeżyłby wojny. W 1943 zwolniono go z Pawiaka „z braku dowodów na żydowskie pochodzenie”... Dziadkowie zresztą też przeżyli, w Milanówku. Dla nich wszystkich chrzest był bramą życia ziemskiego — w istnienie Boga i Ducha Świętego nie wierzyli. Mnie już nie trzeba było chrzczyć, bo w komunistycznej Polsce bynajmniej nie wydawało się to niezbędne dla powodzenia w życiu. Zostałem agnostykiem, mającym wszelako swoje przekonania religijne. W skrócie pogląd mój jest taki, że skoro nie wiemy, czy istnieje Bóg, kim jest i czego od nas żąda, to nie należy wiązać się z żadną z konfesji; trzeba wziąć na siebie ciężar niewiedzy i pokornie go nosić.

Żywiąc taki pogląd na sprawę religii wolałbym, aby moja córka odebrała wychowanie całkiem świeckie, a w sprawach wyznania decydowała w przyszłości sama, już jako osoba dorosła. Stało się inaczej. Ma dopiero dziewięć lat i została małą katoliczką. Było to nieuniknione. Gdybym upierał się, aby do tego nie doszło, zrobiłbym dziecku krzywdę. Zresztą nie miałem prawa się upierać, gdyż brałem ślub kościelny „z wyłączeniem”, obiecując, że nie będę przeszkadzał katolickiemu wychowaniu swego potomstwa. Nie powinienem więc narzekać. Gdybyśmy jednak nie brali z żoną ślubu katolickiego i na przykład byli zawziętymi ateistami (a takimi, broń Boże, nie jesteśmy), nic by to nie zmieniło. Naszą córkę katoliczką uczyniło bowiem przedszkole i szkoła.

Dla katolickiej większości na ogół to żaden problem — wiedzą, że lekcje religii w przedszkolach i szkołach nie są obowiązkowe. Nie ma przymusu religijnego, więc nie ma o czym mówić. Owszem, jeśli przez przymus rozumiemy prawo nakazujące coś czynić, pod groźbą sankcji, to takiego przymusu nie ma. Jeśli jednak rozumiemy to słowo w znaczeniu potocznym, czyli jako konieczność znoszenia przykrości w następstwie niezastosowania się do jakiejś normy zachowania, to taki przymus jest, i to bardzo silny. Wyobraźmy sobie, jaką cenę musiałaby zapłacić moja córeczka, gdybyśmy uparli się z żoną, że nie będzie podlegać wychowaniu religijnemu w przedszkolu i szkole, na przykład dlatego, by o sprawach swej religijności mogła postanawiać świadomie w wieku dojrzałym. Dodam, że wyobraźnią należy przenieść się w tym przypadku do Krakowa, gdzie pewnie jest trochę inaczej niż w Warszawie. Nie sądzę wszelako, aby to Warszawa była typowa; raczej już właśnie Kraków.

W przedszkolu wyglądało to tak, że dwa razy w tygodniu do sali, gdzie na co dzień przebywała „nasza grupa”, przychodziła katechetka i prowadziła swoją lekcję. Teoretycznie mógłbym zażądać, by moja córka nie brała udziału w tych zajęciach, ale oznaczałoby to, że na czas ich trwania zostanie wyprowadzona do innej sali. Tylko, że w przedszkolu wyprowadzenie dziecka do innej sali to najsurowsza forma kary... O żadnym proteście nie było mowy.

Sądzę, że moja córka wierzyła w to, co mówi przedszkolna katechetka, bo czemu nie? Przecież decydując się na oportunistyczny, nie mogłem teraz wzbudzać w swoim dziecku wątpliwości. Mój ojciec też tak postępował. Chciałem robić to, co inne dzieci, więc zacząłem chodzić na przykościelne katechezy. Było to w roku 1973, we Wrocławiu. Nie nachodziłem się jednak długo, bo pewnego razu, gdy wyraziłem wątpliwość w kwestii Biblii i Pana Jezusa, o których to przecież nie uczy się w szkole, katechetka popatrzyła na mnie spode łba i rzekła: „Ej, Jasiu, ty to chyba Żydek jesteś”. Wyręczyła w ten sposób mego ojca w trudnym dziele uświadczenia dziecka, ale wcale mu się to nie spodobało, bo powiedział: „Owszem, jesteś Żydek i jak widzisz lekcje religii nie są dla ciebie”. W ten sposób nie dane mi było zostać chrześcijaninem z wyboru, jak niektórzy moi krewni.

W szkole sytuacja się powtórzyła. Okazało się, że w pierwszej klasie dwie katechezy odbywają się pomiędzy innymi lekcjami i jeśli moja córeczka miałaby w nich nie uczestniczyć, musiałaby iść w tym czasie na świetlicę. Rzecz jasna, byłaby to dla niej wielka przykreść i wstyd, gdy sama jedna miałaby zostać w taki sposób wykluczona z życia klasy i napiętnowana odosobnieniem. Mowy nie było, by stawiać opór. Zresztą dziecko było chętne, by na lekcje religii uczęszczać. Do przymusu społecznego dołączył się wynikający z niego przewrotny przymus psychologiczny. Miałbym walczyć z sumieniem własnego dziecka? Gdybyśmy byli innego wyznania, to sprawa byłaby łatwiejsza. Takie

dzieci mają coś w zamian za lekcje religii katolickiej. Wiedzą, że wprawdzie nie uczestniczą w katechezach i różnych uroczystościach, ale za to ich koledzy nie uczestniczą w innym życiu religijnym, które one mają poza szkołą. U niewierzących nie ma takiej kompensacji. Jest czysta strata i pokrzywdzenie — inne dzieci idą do komunii, mają piękne ubranka i prezenty, a ja nic... Którzy rodzice będą tak zawzięci, by skazać swe dzieci na taką przykrość? Swoją drogą, ciekawe, ile dzieci chodzi na religię i przystępuje do komunii właśnie w takich okolicznościach? Trudno byłoby policzyć, ilu jest w Polsce autentycznych katolików, skoro tak silna jest społeczna presja, by się nie wyróżniać przez nieuczestniczenie w powszechnych manifestacjach religijności. Czy nasi socjologowie religii znają odpowiedź?

Gdy zawierano konkordat, społeczeństwo uzyskało zapewnienie, że dołoży się wszelkich starań, aby lekcje religii odbywały się w szkołach tylko na pierwszych i ostatnich godzinach. Skończyło się na rozporządzeniu ministerialnym w tej sprawie, dawno już zapomnianym i zazwyczaj ignorowanym. Nie zamierzając toczyć wojny, lecz po prostu dla zasady udałem się na rozmowę z dyrektorką szkoły, do której chodzi moja córeczka. Powiedziałem jej, że elementarnym standardem współczesnej demokracji, a także wymogiem polskiej konstytucji jest gwarancja zachowania przez każdego obywatela prywatności w kwestiach wyznania lub też jego braku. Nauczanie religii w szkole w zasadzie wyklucza respektowanie tego prawa, gdyż o każdym spośród nielicznych dzieci, które nie uczęszczają na te lekcje, tym samym staje się wiadome, że nie jest wyznania katolickiego. Bardzo ułomnym środkiem zaradczym byłoby w tej sytuacji respektowanie zasady, że lekcje odbywają się na pierwszych bądź ostatnich godzinach. Uzyskałem obietnicę, że począwszy od drugiej klasy (a więc rok później) tak się stanie w przypadku klasy, do której chodzi moja córka. Usłyszałem jednak, że powinienem dać dziecku możliwość wyboru, że powinienem być bardziej tolerancyjny, a w ogóle to warto, żeby dziecko poznało religię, po prostu z racji kształcenia się. Poczułem się jak na planie filmu satyrycznego — czy to na serio? Powstrzymując wzburzenie odparłem, że w kwestii wyznania małym dzieciom nie daje się wyboru — dzieci chodzące na lekcje religii są na nie po prostu posyłane, bo tak życzą sobie ich rodzice, a celem tych lekcji bynajmniej nie jest i być nie może „informowanie o religii katolickiej”, lecz formacja katolicka. Hipokryzję i udawanie głupiego spotykałem potem nie raz, poruszając ten temat w różnych okolicznościach.

Szkoła mojej córki, zwykła samorządowa szkoła podstawowa w Nowej Hucie, jest niemalże sanktuarium. Pierwszy z nią kontakt mojego dziecka polegał na poświęceniu tornistrów... Symbole religijne są tam obecne na każdym kroku, a uroczystości religijne i rekolekcje przewijają się przez szkolną codzienność, często kosztem lekcji świeckich. O takiej wartości politycznej jak „świecki charakter instytucji publicznych” jak się wydaje nikt tam nie słyszał.

Nie muszę tej opowieści komentować. Jak jest, to widać. Elementarz liberalnej demokracji leży już na urzędniczych biurkach, ale jeszcze nie został otwarty. Mam nadzieję, że to się kiedyś zmieni. A nadzieję tę żywię nie tylko jako demokrata i liberał, ale także jako ktoś, komu zależy na tym, by tak ważna dla polskiego społeczeństwa religia katolicka nie musiała zdobywać kolejnych pokoleń wiernych środkami administracyjnymi. To nie ma sensu i do niczego dobrego nie prowadzi. Wiem, co mówię. Uczę studentów filozofii i etyki. Jako absolwent KUL, pełen głębokiej rewerencji dla tomizmu, zawsze mówię studentom, czym jest doktryna katolicka w zakresie moralności i jaka stoi za nią metafizyka. Nie stronię też od elementarnej teologii. Z biegiem lat widzę na tych zajęciach postępującą barbaryzację religijności młodzieży lub jej zupełny zanik. Barbaryzacja polega na kompletnej ignorancji a zanik wiary stwierdzam wtedy, gdy proszeni o wypowiedzi na tematy egzystencjalnie absolutnie podstawowe, jak istota dobrego życia i powinności dobrego człowieka, studenci odpowiadają w sposób całkowicie nietknięty przez idee i skojarzenia religijne. Mówią o urzędzeniu się, o przyjaźni, miłości, ale nie o pracy czy tworzeniu, a bynajmniej już nie o życiu chrześcijańskim. Pał sześc, że nie słyszeli o Tomaszu, a nawet o Augustynie, ale czy muszą po kilkunastu latach katechez być tak mocno przekonani, że katolicy wierzą, iż Bóg zbawia tych, którzy mają więcej dobrych niż złych uczynków?

Właściwie nie powinno mnie to obchodzić. A jednak obchodzi. I to tym bardziej, im mniej widzę zwyczajnie religijnej młodzieży, a za to coraz więcej barbarzyństwa w wyobrażeniach moralnych i religijnych swoich studentów. W pewnym sensie jestem więc współpracownikiem Kościoła. I zapewne moja córka w końcu lepiej pozna katolicyzm słuchając mnie niż szkolnych katechetów. Jedna światła katoliczka więcej.

Artykuł opublikowała Gazeta Wyborcza 27 lipca 2007 r. Wszedł do zbioru Zebra Hartmana (2011).

PS. Bardzo osobisty, jak widać, artykuł pobudził wiele osób stykających się z przymusem religijnym do listów i wyznań. Zwykle po opublikowaniu kontrowersyjnego lub dotykającego drażliwych spraw artykułu dostają kilkanaście listów, niezależnie od licznych komentarzy na forach

internetowych. Tym razem tych listów było szczególnie dużo. Moja opowieść jest błada i nijaka w porównaniu z tym, co przeżywają ludzie w małych miejscowościach, zwłaszcza zaś w rodzinach podzielonych przez zapatrywania religijne. Nie muszę tłumaczyć, że pisanie czegoś tak osobistego, jak ten artykuł, wciąga do gry członków rodziny. Niekoniecznie muszą być z tego zadowoleni. Nie wiem, co pomyśli moja córka, jak będzie duża. W końcu w jakiś sposób naruszyłem jej prywatność. Publicysta musi zawsze mieć takie rzeczy na uwadze i zadawać sobie pytanie, czy w danym wypadku przypadkiem trochę nie sprzedaje siebie i swoich bliskich. Do pewnego stopnia jest to nieuniknione, niezależnie od tego, jaki gatunek literatury się uprawia, niemniej jednak trzeba sobie wyznaczyć jakieś granice. Publikacja mojego artykułu została uświetniona wybitnym rysunkiem Jacka Gawłowskiego. Miałem szczęście — ten rysunek przejdzie do historii polskiej sztuki ilustracji gazetowej, a mój artykułik na doczepkę.

Zobacz także te strony:

[Kiedy rodzina naciska na chrzest dziecka...](#)

[Chrzest nie jest nieszkodliwy](#)

Jan Hartman

Profesor filozofii, wydawca i publicysta, profesor UJ i kierownik Zakładu Filozofii i Bioetyki w Collegium Medicum na Uniwersytecie Jagiellońskim, redaktor naczelny "Principia", profesor w Małopolskiej Wyższej Szkole Ekonomicznej w Tarnowie. Magisterium - KUL, doktorat i habilitacja - UJ. Zajmuje się metafizyką (heurystyka filozoficzna, autorski projekt teorii neutrum), filozofią polityki, etyką i bioetyką. Zabierając głos w debatach publicznych na tematy polityczne i światopoglądowe, broni rozwiązań liberalnych i demokratycznych. **W wyborach 2011 kandyduje do Sejmu z listy SLD w Krakowie: hartmandosejmu.pl**

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)



(Publikacja: 30-12-2011)

[Oryginał.](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7656) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7656>)

Contents Copyright © 2000-2011 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2011 Michał Przech

Właścicielem portalu Racjonalista.pl jest Fundacja Wolnej Myśli.

Autorem portalu jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie elementy tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób

odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki prezentuje.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do redakcja@racjonalista.pl